

Barbara Stenka

Oj, Hela!

Barbara Stenka  
*Oj, Hela!*



*Dla Helenki  
i Kamilki*



Myślcie sobie, co chcecie – ale jestem najfajniejszą dziewczynką w całym naszym domu. Inna sprawa, że jestem jedyną dziewczynką w całym naszym domu. Jest jeszcze mama, ale to nie dziewczynka, tylko pani. Najfajniejsza pani w całym naszym domu, jak się pewnie domyślicie. No i już chyba nie muszę dodawać, że jest i tata (najfajniejszy pan!). I to już wszyscy ludzie w naszym domu. Jest miło, tylko czasami nudno. Tak jak teraz. Zadzwoiłam więc do

mojej przyjaciółki Magdy – i ona od razu przyszła, bo mieszka dwa domy od mojego domu, czyli blisko. I całe przedpołudnie bawiłyśmy się w Hiszpanki. To bardzo łatwe – być Hiszpanką. Wystarczy tylko zmieniać końcówki wyrazów na *-es* lub *-as*, lub *-os*.

– Hela! – krzyknęła Magda (bo ja mam na imię Hela). – *W tej lampkes przepaliła się żarówkes! Czy masz gdzieś nowas żarówkes?* – spytała piskliwie, wykręcając żarówkę z mojej ślicznej, pomarańczowej lampki z lnianym abażurem.

– *Zaraz poszukas w szafkes! Olé!* – wrzasnęłam (bo w byciu Hiszpanką ważne jest też „*olé!*”).

Pobiegłam i wpadłam głową prosto w brzuch taty, który się zaśmiał (tata, nie brzuch).

– Głową muru nie przebijesz, Helusiu...

– *Spokos, tatas!* – krzyknęłam i poszłam po *żarówkes*.

I to – mniej więcej – robiłyśmy do obiadu. Potem mama postawiła na stole *zupas jarzynowas* i *mielones kotletas*. Magda zjadła u nas i musiała iść do *domes*. A ja ją odprowadziłam.

Zawsze, gdy wracam od Magdy, idę przez taki placzyk, na którym siedzą staruszki i sprzedają owoce

i warzywa ze swoich działek. Czasami częstują mnie gruszką czy pomidorem, a ja z nimi rozmawiam i daję im sygnał, że: „Uwaga! Idzie policjant!”. Bo – nie wiem dlaczego – policjant bardzo nie lubi, kiedy staruszki sprzedają owoce i zaraz wypisuje im mandaty (staruszkom, nie owocom).

Dzisiaj nie było policjanta, za to była Pani Śliwkowa (ona ciągle sprzedaje śliwki albo kompoty z nich, albo śliwki mrożone, albo suszone). Wołała mnie i machała rękami jak wiatrak. Podbiegłam i powiedziałam:

– *Dzień dobres!* Czy ma pani *śliwkes* w *czekolades*?!

Pani Śliwkowa opuściła ręce i wybałuszyła oczy.

– Albo *śliwkes marynowanes*? – bo ja się ciągle bawiłam w Hiszpankę.

Wreszcie Pani Śliwkowa schyliła się i postawiła na swoim stolyczku, obok śliwek, spory karton przykryty ręcznikiem (nie był za czysty).

– Takie to ludzie – wychrypiała – z piekła rodem! Podrzucili mi na działkę – puknęła palcem w ręcznik. – Bez serca ludzie, diabły wcielone!

– Co pani podrzucili? *Ręcznikes? Kartonos?* – próbowałam zgadnąć, o co chodzi Pani Śliwkowej.

Wtedy ona odrzuciła ręcznik, a ja schyliłam się nad kartonem. O kurtka wodna! W kartonie wiercił się tłusty, łysawy piesek! Był długi jak model walca w naszej szkole i miał krótkie, krzywe łapy (to już nie jak model, ale i tak dorobię modelowi łapy, tylko że później).

– Biedactwo... – nagle zapomniałam o byciu Hiszpanką. – Jaki on łysy i jaki różowy...

Pani Śliwkowa spojrzała na mnie z zadowoleniem, a i piesek łypnął sobie z kartonu. Miał opadające powieki i patrzył tak, jak nasz sąsiad, kiedy wypije wszystko z tej płaskiej buteleczki, co ją chowa pod marynarką.

No i nawet nie wiem, jak do tego doszło, ale stałam przed drzwiami naszego domu, taszcząc ciężki karton wypełniony łysym pieskiem. Tata otworzył drzwi, a potem usta.

– *To kartones, kochany tatas* – wcisnęłam się do przedpokoju. – A w nim jest *pieses*... Ludzie go podrzucili na *działkes* Pani Śliwkowej. *Olé*...

– O nie, Hela! Po moim trupie! – wrzasnął tata (on zawsze tak mówi, gdy się zdenerwuje). – Pies to uzależnienie na kilkanaście lat! To męka! Udręka!

Weszła mama, pytając, dlaczego tak krzyczymy, u licha.

– *Mamunias... to ślicznes pieses*... – powiedziałam cichutko jak nie ja, tylko jak jakaś obca, skrzywdzona dziewczynka.

– Wy mnie do grobu wpędzicie! Dopiero kiedy moje oczy się zamkną, to wasze się otworzą! I wtedy zobaczycie! – Mama zawsze tak mówi, gdy się zdenerwuje.

– Ale błaagam... – znowu użyłam tego cichutkiego głosu. – Porzucili go... Zawsze mówiliście mi, żebym pomagała słabym i chorym... Bo on jest pewnie i chory, tak mało ma włosów... *Olé*... – wyjęłam psa z kartonu i postawiłam na dywanie w pokoju.

Mama i tata krzyczeli, ja udawałam, że mdleję, co czasami pomaga. Ale dzisiaj, choć już trzeci raz osunęłam się na podłogę, rodzice nie reagowali.

Pies stał na szeroko rozstawionych łapach, dziwnie długi jęzor wisiał mu jak pognieciona szmatka i na dywan kapiała ślina. Mama mówiła, że to dla niej gwóźdź do trumny, tata dyszał jak maratończyk, który dobiegł do mety.

Poszłam więc do kuchni i przyniosłam psu miskę pełną wody i wielką parówkę. Zaczął głośno chleptać

i rodzice umilkli. Kucnęli, ja też kucnęłam i wszyscy zobaczyliśmy, że pies jest niesamowicie podobny do tej parówki, co leży obok. Trochę różowy, łysawy i długi, a brzuch wisiał mu tuż nad podłogą.

I co powiecie?

Teraz jest wieczór, ja leżę w łóżku, a na mojej kołdrze sapie Parówkas. Najfajniejszy pies w całym naszym domu!



Nie wiem, czy lubicie prace ręczne w szkole, ale ja lubię. Nasza pani uczy nas, jak zrobić coś z czegoś innego; jest cierpliwa i pomysłowa. Przynosi do klasy różne przedmioty i pokazuje, jak zrobić z nich inne przedmioty, z których później można też coś zrobić. Bardzo ciekawe.

No i dzisiaj pani przyniosła coś niezwykłego: takie drewniane ramki z przewiązanymi między nimi żyłkami, mnóstwem równych żyłek. I powiedziała, że to są krosna tkackie i można na nich utkać masę